

Tadeusz Borowski. Żył 29 lat, pisał nie wiele, ale gdy już – wzbudzał kontrowersje.

Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia.

Tadeusz Borowski debiutował jako dwudziestolatek w 1942 roku. W samym środku wojny. Pracował jako magazynier w firmie budowlanej na warszawskiej Pradze międzyczasie studiując polonistykę na tajnym uniwersytecie. Razem z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim i Tadeuszem Gajcym.

Nad nami - noc. Goreją gwiazdy dławiący trupi nieba fiolet. Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

Pisał w pieśni z debiutanckiego tomiku z 1942 roku. Przeżywał młodość i miłość, ale opisywał też apokalipsę. Kilka miesięcy po debiucie zostaje aresztowany przez Gestapo i trafia do obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Na przedramieniu wytatuowano mu numer 119198. Po kilku miesiącach pracy na Budach i na Harmenzach, zapadł na ciężką chorobę i znalazł się w oświęcimskim szpitalu. Gdy go odratowano, przyjaciele pozostawili go w szpitalu w charakterze flegera (pielęgniara).

Pisze Tadeusz Drewnowski we wstępie do zbioru opowiadań Borowskiego.

Niedaleko stąd, za drutami, w jeszcze potworniej szych warunkach przebywała jego narzeczona. Stara się z nią porozumiewać (te listy, odtworzone przez autora, złożą się później na opowiadanie U nas, w Auschwitzu...), dostarczać jej lekarstw. Wkrótce dobrowolnie porzuci szpital, wstąpi do komanda dachdeckerów, obozowych dekarzy, żeby widywać się ze swą dziewczyną. W obliczu zbliżającego się frontu Niemcy zaczynają likwidować Oświęcim. W sierpniu 1944 r. Borowski dostaje się do transportu; wywożą go na jeszcze prawie rok do mniejszych obozów w głębi Rzeszy, wpierw do Dautmergen koło Stuttgartu, następnie do Dachau Allach.

Uwięziony Borowski nie przestaje pisać.

I oto, chwalcą człowieka, leżę na pryczy baraku i chwytam, jak ptaka lot, w palce legendę i mit, lecz próżno w oczy człowiecze patrzę szukając znaku. Już tylko łopata i ziemia, człowiek i zupy litr.

Wiersze obozowe to głównie liryki do narzeczonej Marii – również uwięzionej po drugiej stronie obozowej rampy. W 1944 roku docierają do Marii listy, które stanowiły jednocześnie początki prozy Borowskiego. Ich treść pojawia się w opowiadaniu „U nas w Auschwitzu”.

W wierszach Borowski pokazuje obozowe piekło. „Palą się ludzkie stosy jak kupy smolnych łuczyw”. Po wojnie widać w wierszach poczucie winy wobec tych, którzy umarli. Winą jest życie.

Prowokacyjność opowiadań Borowskiego, tak bezwzględnych w ich czysto zewnętrznym, tzw. behawiorystycznym opisie, w stylistyce i języku (fachowy słownik oświęcimski, zestawiony przez pisarza w Byliśmy w Oświęcimiu, znaleźć można na końcu niniejszej książki), spotęgował jeszcze fakt, że poecie-vorarbeiterowi autor nadał własne imię. Choć, jak widać, cały cykl był przemyślnie i wysoko zorganizowaną konstrukcją literacką, Borowski-lagrowiec postąpił tak nie przypadkowo. Był to z jego strony świadomy akt moralny. Mimo że postać literacka nie miała z nim wiele wspólnego, chciał w jakiejś mierze - zgodnie z przekonaniem wyrażanym w poezji - wziąć również

na siebie winę za to, co było udziałem zwykłego człowieka jego czasu. Tak rozumiał własne zadanie pisarskie, i tego w swych artykułach żądał od innych.

Pięć dni po narodzinach córki z objawami zatrucia Borowski trafia do szpitala. Po kilku dniach umiera. Jego samobójstwo owiane jest tajemnicą.

BLOK – barak obozowy. Każdy więzień był przydzielony do jakiegoś bloku, przy którym musiał stawać na apel.

BLOKOWY – więzień, przełożony w bloku, dbał o orządek, nadzorował wydawanie jedzenia, paczek. Był odpowiedzialny za zgodność apelu

FUNKCJA – dobre stanowisko w obozie, nie na komandzie.

FLEGER – sanitariusz w szpitalu.

KAPO – więzień kierujący grupą roboczą. Pilnował roboty, rozdawał żywność, premie i kije. Posiadał nieograniczoną władzę nad więźniami.

KANADA – symbol dobrobytu obozowego. Także komando pracujące przy transportach przychodzących do obozu i do gazu.

To fragment słownika wyrazów obozowych, który Tadeusz Borowski dołączył do zbioru opowiadań „Pożegnanie z Marią”. W tytułowym opowiadaniu „Pożegnanie z Marią Borowski” pokazuje życie w okupowanej Warszawie. W firmie inżyniera pracuje Tadeusz.

Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdawała wszystkim utrzymanie. Pracowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki trwoniącej pieniądze na żebraków, kościoty i zakonników oraz syna erotomana ciągnął z niej wczasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tysiące jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierzał plac po spalonej we wrześniu firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły, ale nadający się do polowań (miał bowiem spory kawał lasu) i uprzemysłowienia (posiadał glinę), wreszcie w trzecim roku wojny rozpoczął i pomyślnie poprowadził pertraktacje ze Wschodnią Koleją Niemiecką o zakup i rozbudowę własnej bocznic kolejowej i postawienie przy niej magazynów przetadunkowych.

Firma oszukiwała klientów, ale jej właściciel płacił swoim ludziom więcej niż musiał. Warszawiaczy kombinują i są sprytni obchodząc zakazy Niemców. Wszystko opiera się na handlu. Obok biznesowego życia Borowski pokazuje lęk przed wywozem do obozu.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się zza aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześliznęły się po twarzach ludzkich jak po zbiegających kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami, zatrzymaną wpół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głębię placu

końskiego; otarli się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem, zbadały wnętrza tramwajów stojących ze zgaszonymi światłami, zawahały się na lewo i na prawo jak głowa rozdrażnionego węża, powróciły do ludzi, oślepiły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii otoczona szerokim rondem czarnego kapelusza była biała jak wapno. Trupioblade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum tuż przy żandarmie. Patrzyła z napięciem w moją twarz jak ślepa, prosto w reflektor. Poruszała wargami, jakby chciała zawołać. Zachwiała się, omal nie upadła. Samochód zatrzzął się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię, jako aryjsko-semickiego mischlinga, wywieziono wraz z transportem żydowskim do oślawionego obozu nad morzem, zagazowano w komorze krematoryjnej, a ciało jej zapewne przerobiono na mydło.

W opowiadaniu „U nas w Auschwitzu” obóz koncentracyjny pokazany jest jak świetnie zorganizowane przedsiębiorstwo. Utwór pisany jest w formie listu do Marii.

Kursy wciąż się odwołują, bo czekamy na flegarów z okolicznych obozów: z Janiny, z Jaworzna, z Buny. Mają być także flegarzy z Gliwic i z Mysłowic, dalszych obozów, ale należących jeszcze do Oświęcimia. Tymczasem wysłuchaliśmy paru wzniosłych przemów czarnego kierownika od kursów, małego zasuszonego Adolfa, który przyjechał niedawno z Dachau i jest nasiąkły aż po uszy kameradschaftem.¹ Będzie podnosił zdrowotność obozu przez kształcenie flegarów i obniżał śmiertelność przez nauczanie, co to jest system nerwowy. Adolf jest niezwykle sympatyczny i nie z tego świata, ale jako Niemiec, nie zna proporcji między rzeczami i zjawiskami i czepia się znaczenia słów, jakby one stanowiły rzeczywistość. Mówi „Kameraden”² i myśli, że my istotnie jesteśmy Kameraden, mówi „zmniejszyć cierpienie” i myśli, że to jest możliwe. Na bramie obozu spleciono z żelaza litery: „Praca czyni wolnym”. Oni chyba w to wierzą, ci esmani i ci więźniowie, którzy są Niemcami. Ci, co się wychowali na Lutrze, Fichtem, Heglu, Nietzschem. Więc kursów na razie nie ma i włączę się po obozie, czyniąc wycieczki krajo- i psychozawcze.

Więźniowie w Oświęcimiu mówią dumnie „U nas w Auschwitzu”. Nie ma apelów, warunki są lepsze, piece i koce, a czasem nawet obrusy. Jest muzeum, sala muzyczna, biblioteka, a nawet dom publiczny.

- Ktoś nazwał nasz obóz: Betrugslager, obóz oszustw. Skąpy żywopłot przy białym domku, podwórko podobne do wiejskiego, tablice z napisami „kąpiel” wystarczą, aby otumanic miliony ludzi, oszukać aż do śmierci. Jakiś tam boks, jakieś trawniczki przy blokach, dwie marki na miesiąc dla najpilniejszych więźniów, musztarda w kantynie, cotygodniowa kontrola wszy i uwertura do Tancreda wystarczy, aby oszukać świat i - nas. Ci tam z zewnątrz myślą, że to jest potworne, ale przecież nie jest tak źle, skoro i orkiestra, i boks, i trawniczki, i koce na łózkach... Oszukańcza jest porcja chleba, do której trzeba dokładać, aby żyć.

Oszukańczy jest czas pracy, przy którym nie wolno mówić, siadać, odpoczywać. Oszukańcza jest każda szufla ziemi, którą niepełną rzucamy na wał rowu.

¹ Kameradschaft (niem.) - koleżeństwo

² Kameraden (niem.) - koledzy

Patrz na to wszystko uważnie i nie trać siły, gdy Ci jest źle.

Bo może z tego obozu, z tego czasu oszustw będziemy musieli zdać ludziom żywym relację i stanąć w obronie zmarłych.

Po powrocie do Birkenau Tadeusz spotyka kolegę z Oświęcimia.

Nie umarłeś jeszcze, Abramek? Co słychać?

- Nic ciekawego. Czeski my zagazowali.

- To wiem i bez ciebie. A osobiście?

- Osobiście? Jakie u mnie może być „osobiście”? Komin, blok i znowu komin? Albo ja mam tu kogo? A, chcesz wiedzieć - osobiście: wykombinowali my nowy sposób palenia w kominie. A wiesz jaki?

Byłem bardzo uprzejmie ciekaw.

- A taki, że bierzemy cztery dzieciaki z włosami, przytykamy głowy do kupy i podpalamy włosy. Potem pali się samo i jest gemacht .

- Winszuję - rzekłem sucho, bez entuzjazmu. Roześmiał się dziwnie i popatrzył mi w oczy:

- Te, flegler, u nas, w Auschwitzu, my musimy bawić się, jak umiemy. Jak by szło inaczej wytrzymać?

I wsadziwszy ręce w kieszeń odszedł bez pożegnania. Ale to jest nieprawda i groteska, jak cały obóz, jak cały świat.

Borowski pokazuje obozowy świat jako nieludzki. W opowiadaniu „Proszę Państwa do gazu” Tadeusz jest zlagrowany – przystosował się do życia w obozie, nic go nie dziwi. Pracuje przy opróżnianiu wagonów. Jest w nich brudno, w kątach leżą martwe niemowlęta. Tadek zwierza się przyjacielowi - jest zły na ludzi, którzy idą do gazu, że przez nich musi przebywać na rampie. Zobojętnienie, zdziczenie, odczłowieczenie, zobojętnienie widać w scenie z „Proszę Państwa do gazu”, gdy matka nie przyznaje się do swojego dziecka

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem:

- Mamo, mamo!

- Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

- Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! - krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojedą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

- Mamo, mamo, nie uciekaj!

- To nie moje, nie moje, nie!...

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

- Ach, ty, jebit twoju mat', blad jewrejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! - Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

- Masz! Weź i to sobie! Suko! - i cisnął jej dziecko pod nogi.

- Gut gemacht, tak należy karać wyrodne matki - rzekł esman stojący przy samochodzie. - Gut, gut Ruski.

W „Bitwie pod Grunwaldem” widzimy obóz amerykański, w którym przebywają byli więźniowie wyzwolonych obozów koncentracyjnych. Amerykanie nie chcieli wypuszczać tych ludzi od razu na wolność, w sposób niekontrolowany. W obozie panuje głód, bez pozwolenia nie wolno wychodzić na zewnątrz. Tadeusz poznaje młodą Żydówkę, z którą bez pozwolenia opuszcza obóz. Wracając Nina nie zatrzymuje się na wezwanie amerykańskiego żołnierza. Padają strzały.

- Fraulein, Fraulein! Halt, halt! Come here!

- Stop, stop! - krzyknął piskliwie drugi.

Padając otarła o cegłę policzek. Na skurczonej, wilgotnej, nabiegłej świeżą krwią wardze usiadła duża niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała, bzykając. Spod wargi lśniły martwo białe zęby. Wypukłe oczy zmętniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zaciśnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach.

- What's happened? Czemu ci ludzie tak krzyczą? First Lieutenant pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera.

- Do you speak English? - zapytał szybko First Lieutenant. Poruszył niezdecydowanie szczęką, jakby rozpędzając się, i naraz zaczął żuć.

- I do - kiwnąłem. Mój głos zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki, obojętny przedmiot.

Tłum zastaniał szczelnie trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

- What's happened? - powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wypryśnie z auta. - Kto skrzywdził tych ludzi? Czemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem opuszczonym lufą na dół wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten, który szedł przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

- Nothing, sir . Nic się nie stało - uspokoiłem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. - Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobieląa.

- My God - powiedział. Musiało mu nagle zaschnąć w ustach, gdyż krzywiąc się, wypłuł gumę. Różowa grudka zaczerwieniła się w kurzu drogi. - My God! My God! - Chwycił się za głowę.

- My tu, w Europie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni - odrzekłem obojętnie. - Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rzekę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem w głąb koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano. Cisza jak napęczniały balonik pękła z traskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i patrząc w oczy żołnierzom cały czas wrogo skandował:

- Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!

Nina przeżyła obóz koncentracyjny, uniknęła komory gazowej, zginęła od kuli wyzwolicieli. „Bitwa pod Grunwaldem” podejmuje jeszcze jeden problem. W obozie wystawiana jest sztuka „Grunwald”. Polacy zastanawiają się – wracać do Polski czy jechać na Zachód.